

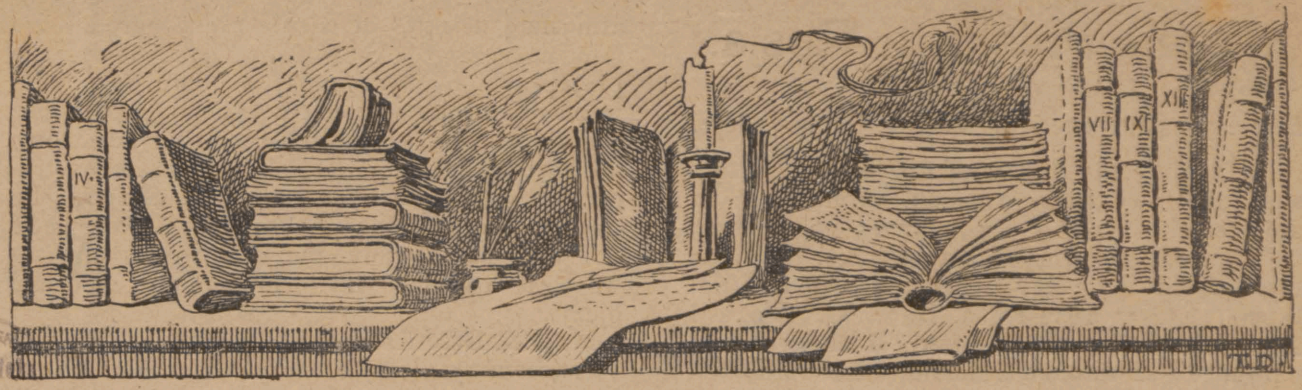
322/98
1339

Mr. N. 5

MICHAŁ BRENDSZTEJN

Nr. 1-4, 6-15

Wilno, 21 marca 1926 r.



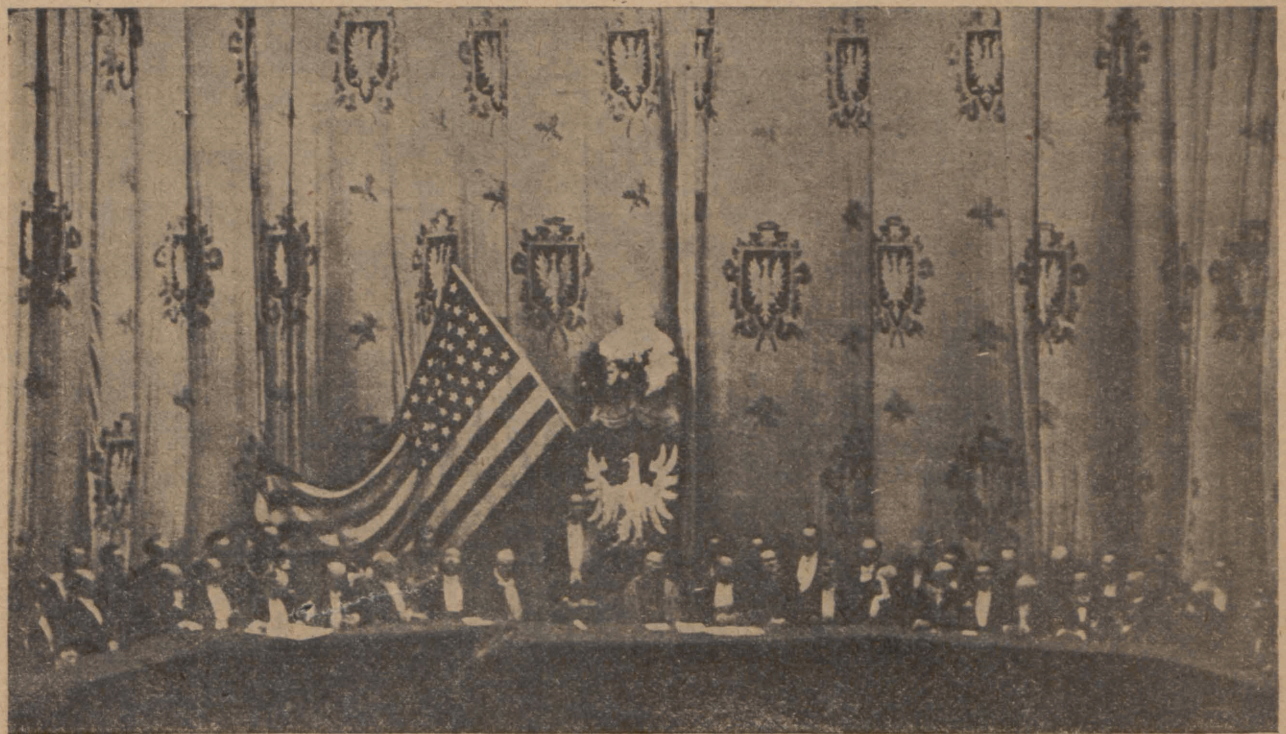
Litewski
Centr. Bibliot.
Maksim Akademi

DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

• KSIĄZNIKA
• 013-ważg •
• PRZYJACIÓŁ NABK
• W WILNIE

Moment dziejowy z życia ś. p. arcyb. Cieplaka.



Obchód w Petersburgu 15 października 1917 r. stulecia zgonu T. Kościuszki.

Po środku siedzi arcyb. Cieplak, po prawej jego stronie stoi Minister Spraw Zagranicznych Ros. Rządu Tymcz. Tereszczenko, dalej posłowie wszystkich państw sojusznicych. Po lewej siedzą przedstawiciele kolonji polskiej w Petersburgu. Tereszczenko w imieniu swego rządu i państw sojusznicych składa uroczyste zobowiązanie odbudowania całej, zjednoczonej i niepodległej Polski.

Ponad zebraniem widzimy biust Kuściuszki oraz sztandar Stanów Zjednoczonych na pamiątkę walk naszego bohatera narodowego o niepodległość Ameryki.

Między Polską a Rosją.

Z przeżyć uniwersyteckich Apollona Skalkowskiego.

O Apollonie Skalkowskim, uczonym rosyjskim z połowy zeszłego wieku, autorze szeregu źródłowych dzieł o Kozaczyźnie zaporoskiej, wiemy w Polsce właściwie tyle tylko, ile przed czterdziestu kilku laty podał w przygodnej notatce („Kłosa“ 1882 r.) M. Dubiecki. Z okazji żartobliwego wierszyka, jaki Skalkowskiemu wpisał do sztambucha Mickiewicz w Moskwie 1826 r., przypomniał Dubiecki, że ów historyk rosyjski pochodził z Żytomierza, że przez jakiś czas był studentem uniwersytetu wileńskiego, skąd dopiero przeniósł się do Moskwy, gdzie się spotkał z Mickiewiczem. Urywek wspomnień Skalkowskiego dotyczących tego spotkania, za „Ruskim Inwalidem“ 1860 r. powtórzył Wł. Mickiewicz w „Żywocie“ ojca. Jest to bodajże wszystko, co możemy wiedzieć o polskiej przeszłości Skalkowskiego, nie zaglądając do źródeł rosyjskich. Zresztą o niej głucho u nas zupełnie. A przecież przeszłość ta była bogatsza i ciekawsza. Pod pewnym względem może nawet być wzięta za poszczególny przykład, za wymowną ilustrację ogólnego zjawiska dziejowego, wielkiej bitwy rozgrywanej w wieku XIX między kulturą polską a rosyjską o Ruś, i za dowód rywalizacji ognisk oświatowych: Wilna i Moskwy. W danym wypadku Skalkowski znalazł się w środku między zapaśnikami, jako „przedmiot“ sporu; bynajmniej jednak nie bierny. Spór rozegrał się właściwie w jego duszy i wyłobit w niej bolesne ślady. Sprawa cała obchodzi nas tem bliżej, że jak się rzekło, zahacza o dzieje i o oblicze duchowe uniwersytetu wileńskiego z przed stulecia.

Przypadkowo dostała mi się w ręce nieduża paczka autografów, trochę listów, trochę wierszy, pisanych w latach 1825 i 1826 ręką Skalkowskiego z Wilna, z Żytomierza, wreszcie z Moskwy. Rozrzucone tam napomknienia biograficzne, wylewy uczuć, pozwalają nam wejrzeć nieco w dramat psychiczny człowieka, w którym złamano oś krystalizacyjną narodowości. Bohaterem dramatu był sam autor tych listów, postawiony przez los na rozdrożu między Polską a Rosją. Zanim się stał Rosjaninem, Skalkowski pędem serca szedł ku Polsce; oderwano go jednak od niej siłą.

Pochodził z Żytomierza, był Rusinem, naturalnie prawosławnym. Z delikatnych napomknień w listach wnosimy, że wyszedł z atmosfery domowej nieprzychylniej dla polskości. Mimo to zapisał się na uniwersytet wileński, bodajże w pamiętnym roku 1822, właśnie podczas procesu filareckiego. Odrazu zatem poddany został ciężkiemu, policyjnemu wprost rygorowi, jaki zaciążył nad wszechnicą pod rządami Nowosilcowa i Pelikana. Oblamano brutalnie wspaniały pień z młodych latorośli, objęto go tego żelazną obręczą ucisku, by zatomować krańcem wiosennej miazgi życia ideowego; szpiegostwem, chłostą, w razie potrzeby i więzieniem tłumiono wszelki poryw „nierozsądnego nacjonalizmu“ i wolności. W tę duszną

atmosferę ucisku, dławienia życia narodowego młodzieży, wszedł Skalkowski, jak wiemy, nie przysposobiony bynajmniej w domu do poddawania się urokom ducha polskiego. A przecież mu się nie oparł, przeciw przyłgnął uczuciowo do narodowości, uparcie, choć napróżno, wytracanej naówczas w ognisku wileńskim. Po dwóch, trzech latach pobytu na uniwersytecie już jest zdecydowany narodowo; sam napisze wówczas o sobie: „Litwę miałem już za drugą ojczyznę“.

Dwa były ogniwa, co go spoiły z Polską. Pierwszem była miłość. Oczywiście. Serce ruskie wzięta w niewolę wileńska, jakaś Marja R., zwana przezeń — jakżeby inaczej — Marylą; miłość tę będzie Skalkowski wspominał długo i rzewnie. Węzłem silniejszym atoli nawet od miłości była... przyjaźń koleżeńska. Nie dziwnego. Było to przecież w okresie szczególniejszego kultu przyjaźni, kultu narzuconego ówczesnemu pokoleniu młodzieży przez wspaniałą genjusz poetycki Schillera. Dalej, było to w Wilnie, gdzie atmosfera przyjaźni koleżeńskiej, najgłębszej i najserdeczniejszej wydała dopiero co prześliczny kwiat filaretizmu, gdzie więc zasiew tego typu uczuciowości tkwit już w gruncie dusz. Tej wysokiej temperaturze przyjaźni dał się pochłonać i Skalkowski. Nie oparł się uroczej pobudce poety: „razem! młodzi przyjaciele!“. Węzłem najściślejszej, najserdeczniejszej przyjaźni złączył się w Wilnie z mniej nam dziś znanymi kolegami, Dominikiem Zahorowskim i Feliksem Krupskim; zwłaszcza zaś z tamtym. Musiała to być przyjaźń o osobliwszej głębi i żarliwości, sięgała do dna dusz. Przyjaciele zwierali się nawzajem, w wylewach serc czułych spowiadali się z pierwszych zapałów miłosnych: — ja o twojej kochance, ty mnie mówisz o mojej, — tudzież z niegroźnych, a jakże modnych naówczas, smutków i melancholij, niby to bajronistycznych, pisali do siebie wiersze, marzyli wspólnie, a w wątku marzeń nie brakło oczywiście ideałów narodowych. Wtedy to, tą to drogą, Skalkowski uczył się kochać swą „drugą ojczyznę“.

Znagła tę złotą przędę koleżeństwa rozerwał cios z zewnątrz. W uniwersyteckim życiu Skalkowskiego zaszła jakaś nieznana bliżej katastrofa. Wśród wierszy jego jest jeden datowany „z więzienia 1825 r. 19 maja w Wilnie“. Zaczoby się miał tam dostać, niewiadomo. Jak się wspomniało, nie było o to trudno naówczas w Wilnie. Może poszło o jakie wykroczenie przeciw dyscyplinie uniwersyteckiej, a może zgola była to jaka kaźń polityczna, może go przychwycono na jakiej nieprawomyślności? Za tem przemawiać by mógł fakt, że po tym wypadku przerażony ojciec zabrał syna co rychlej z niebezpiecznego miasta, wysłał go daleko od gniazda nacjonalizmu polskiego, do Moskwy. Nad zaprzyjaźnioną trójką kolegów zawisła groza rozłąki; dla Skalkowskiego była ona tem okropniejsza, że zdawał sobie sprawę z tego, co znaczy dlań ten odjazd; decydowało się całe jego dalsze życie, wrócić oto miał znów w tamtą narodowość. On też oddźwięknął na to nieszczęście jękiem szczerzego cierpienia. Choćbyśmy nawet złożyli część jego rozrzewnień

i lamentów na karb romantycznej egzageracji uczuciowej, to i tak zostanie dość, by zaświadczyć, jak głęboko wrósł młody Rusin sercem w Wilno i w Polskę.

Z przyjaciелеm żegna się on poprostu jak przed zesłaniem, pełen złowrogich przeczuć, że oto rozechodzą się może nazawsze. Zahaczyć więc chce on kotwicą pamięci jak najsilniej. Wyraził był kiedyś chęć posiadania jego wierszy,—Skalkowski przepisuje więc je w osobnym zeszycie i poprzedziwszy żalosnym słowem wstępem, składa przyjacielowi na pamiątkę. „Gdy chcą losy nasze — pisze mu tam — abym się rozstał na długo, może na zawsze z tobą, wierz mi, bracie, że te momenta, które z tobą lub-Feliksem przepędzam, są mi jedyną pociechą, a ty wiesz, ile jej potrzebować muszę! Czuję, że siły mojej duszy razem z męstwem nikną, czuję dobrze, że przy tylu przeciwnościach życie moje niedługo potrwali!“. Niech więc choć ta pamiątka zostanie.

Równocześnie w osobnym długim liście spowiada się Skalkowski przyjacielowi z boleści, w jaką go pogrążyła wola ojca. Dobitniej niż w wierszach (przeciętnie romantycznych, więc z „upiołem“ etc.) maluje się w tem piśmie tragiczne rozdarcie serca wrywanego siłą z gruntu, w który już wrosło. Stojąc na decydującej przełęczy swego życia, młody student rzucił okiem żalosnym na miejsca najdroższe, a tracone. „Tu mieszka ta, dla której całe życie i myśli poświęciłem, tu urosła i w wdzięki przyodziała się Marylla. Na tej ziemi ją poznałem, tu łzy ronilem i tu poraz pierwszy anielskiej doznałem rozkoszy... Nie dosyć na tem; mocniejszy jeszcze łączyłby mnie do czasu z tą ziemią węzeł, a tym jesteś ty i Feliks. Tak jest, wam winienem spokojność i moc duszy, wam winienem wiele, boście byli moimi przyjaciółmi... Tu, między wami, w zakątku przesławego Gedymina grodu, na Łotoczku, powziąłem te myśli ku drogiej naszej Ojczyźnie, które już zawsze zachowam. Widzisz, przyjacielu, jak okropny jest ten wyrok ojca, abym was, kochankę i Litwę na zawsze opuścił. Wkrótce w odległej ziemi, wśród nieznanego ludu i miasta nowe zacząć muszę życie; okropna myśl!“ (List z dn. 29 IV 1825 r. z Wilna).

Wyjazd Skalkowskiego z Wilna, oddalenie, nie zerwało oczywiście więzów przyjaźni; podtrzymywano je za pomocą wymienianej sekretnie korespondencji, ale widać było odrazu, że twarde prawo życia i przestrzeń osłabiać je będzie i rozluźniać coraz bardziej. Przedewszystkiem nad korespondencją wisiała już zmora cenzury, donosu; trzeba było mieć się na ostrożności. Jest o tem mowa zaraz w pierwszym liście Skalkowskiego z Żytomierza do Wilna po rozłącze. „List do mnie adresuj *podług naznaczonego sposobu* i tylko nie wspominajcie wyrażnie o niczem!“ A było się z czem kryć. Tenże list wyjaśnia nam może najwyraźniej, do jakiego to stopnia wileński triumwirat przyjacielski zbudowany był na wspólnocie uczuć narodowych także. U podwalin tej studenckiej przyjaźni leżały wspólne jakieś ślubowania na służbę Ojczyźnie. Oto jak się zwierza Skalkowski z trudności nowego swego położenia w do-

mu rodzicielskim: „Moje tu postęпки wależą bezustannie z dwoma kontrastami: t.j. ze szczerem wylaniem się na łonie siostr i braci — i z najściślejszem ukrywaniem się ze strony moich myśli, powstających uczuć i *dawnych naszych postępków*. Wiesz dawno, czem jestem z przyczyny mojego wyznania religijnego i tę myśl, co wyżej umieściłem, rozumieć potrafisz“. Dramat młodej duszy, targającej się w kolizji między uczuciami rodzinnymi a narodowymi, zarysowuje się już zupełnie wyraźnie.

Korespondencja między przyjaciółmi przeciągała się także po wyjeździe Skalkowskiego do Moskwy. Z nowego środowiska dzielił się z dawnymi kolegami myślą, uczuciem; donosił im o stosunkach na uniwersytecie, o pracy swej, o pierwszych próbach literackich rosyjskich. Widać z tych wiadomości, że w Moskwie czuł się nie najlepiej, utrzymywał stosunki z Polakami, narażając się na niechęć ze strony towarzystwa rosyjskiego; „rosyjskie damy bardzo mnie nie lubią“. Wtedy to zeszedł się z Mickiewiczem. Pisze o nim dn. 18 XII 1825 r.: „A. Mickiewicz przyjechał do Moskwy; uwiadomił mię niedawno, że wyda niedługim czasem trzeci tom swoich poezyj“.

Ale życie powoli, wytrwale robiło swoje. Nauki, stosunki literackie, społeczeństwo rosyjskie wciągały coraz głębiej młodego, zdolnego studenta, aż i wciągnęły zupełnie; zblaknął dramat duszy, zabliźniły się rany rozerwania z dawną „drugą ojczyzną“. Polska karta w życiu Skalkowskiego odwróciła się i zamknęła. Siła przyciągająca rosyjskości przemogła i wchłonęła chwiejną, rozdartą indywidualność w swój systemat. Odległe wspomnienia Wilna, kochanki, przyjaźni i przysięg narodowych polskich, nie mogły przeważyć szali. Ależ bo szanse nie były równe, przewaga wprost materialna tamtej drugiej strony oczywista. Uniwersytetowi wileńskiemu ta porażka nie uwłacza bynajmniej. Owszem, cały powyższy wypadek, fakt, że w najniegodniejszych warunkach, obłączony sam i uciśniony, mógł on tak uroczenie oddziaływać na dusze i przyciągać je nawet z poza obwodu polskości, wszystko to świadczy dostatecznie o potędze ducha narodowego, przenikającego naówczas i uczelnię i młodzież akademicką, mimo wszelkich wysiłków Nowosilcowa.

Stanisław Pigoń.

Nienapisana powieść Reymonta.

Znakomity krytyk i przyjaciel osobisty przedwczesnie zrasłego wielkiego powieściopisarza naszego, A. Grzymała Siedlecki, w obszernych wspomnieniach swych o Reymoncie, pomiędzy innymi pisze co następuje:

Było to już ze dwadzieścia lat temu, w jednej z restauracyj krakowskich.

Reymont wpadł w dobre usposobienie i zaczął opowiadać o sobie. Opowiadał zawsze w sposób czarujący. O ile pamiętam było nas razem trzech, czy czterech. Nie wspomnę dziś kto to był, bo całość mojej pamięci skoncentruje się dziś nad tem, co on mówił:

— Jak wiecie,—opowiadał:—byłem przez jakiś czas aktorem. Dostałem się do trupy dyrektora... (tu było nazwisko zacytowane — dziś go nie pamiętam). Włóczyliśmy się po Lubelszczyźnie od miasteczka do miasteczka. Wszędzie kłapa. Dyrektor ogłosił niewypłacalność. Nie było innej rady, trzeba było utworzyć działówkę. Niepomogło to. Kłapa za kłapą. Bieda, nędza. W Nałęczowie doszło do tego, że po spektaklu mieliśmy tylko na szklanę herbaty i bułkę — „na twarz“. Co zdolniejsi, co energiczniejsi, zaczęli towarzystwo opuszczać. Zostało nas ośm osób. Z Łęczny już nie mieliśmy na furmankę. Rada w radę, postanowiliśmy się rozbić na dwie trupy. Po czworo. Jedni na zachód, drudzy na wschód. Łatwiej się wyżywić we czworo, niż w ośmiu. Z pamięci, z granych kiedyś rol zrekonstruowaliśmy dwie — trzy sztuki na cztery osoby. Jeśli w sztuce była osoba piąta, albo i szóstą, tośmy jej tekst i sens rozparcelowali na cztery pozostałe role. Czy nie wychodziły z tego brednie? — pytacie. Owszem, wychodziły, ale primum vivere deinde philosophari. Robiło się to na gwałt, na dell'arte — byle jutro „zagrać“.

Ruszyłem w swojej czwórce ku Bugowi. Oczywiście ani dekoracyj ani rekwizytów. Piechta. Palto zastawione w Lublinie, frak sprzedany w Lubartowie, podeszwy do przyszy już mocowane sznurkami. Gramy. Kłapa! Idziemy do następnego miasteczka — kłapa! Niema innej rady: rozbijamy trupę na dwie dwójki. Co grać we dwoje? Jakaś jednoaktówkę, bodaj „Swieczka zgasła!“ — i monologi. Dobrnęliśmy do Włodawy. Tu konkurencja: wędrowny cyrk! Rozpacz... Zapoznajemy się z dyrekcją cyrku... Dyrekcja t. j. staruszka dyrektorowa, ex-woltyżerka, oślepla od katarakty. Francuzka, Alzatka. Trupa: siedmiu jej synów i donajęta woltyżerka. Pozatem dwa konie i tresowany pies. Zaczyna się rozmowa, z rozmowy wynika, że cyrk. tak samo jak my, robi bokami. Wczoraj zwał im Głupi August, bo dostał engagement do innej budy. To właśnie okazało się naszym wybawieniem. Alzatka angażuje mnie i moją partnerkę, byśmy wypełniali antrakty dialogami i deklamacją. Tak się rozpoczęła moja tournée cyrkowa. Trwała ona coś miesiąc.

Tu następowały dzieje owej wędrowki, porywająca opowieść, której nie silę się streścić, bo cały jej urok, siła, polegały na tej ekspresji, z jaką on je opowiadał... Powieść, zakończona artystycznie, bez luki, skomponowana nieskazitelnie, pełna genialnych wprost błysków. Bohaterką była owa directrissa cyrku, sześćdziesięcioletnia, oślepla Alzatka. Despotka nad siedmiu swymi synami, trzymająca ich w żelaznych ryzach, nie dająca im ani grosza z dochodów przedsiębiorstwa, bo żyjąca jednym jedynym marzeniem: z nędzy swojego cyrku zebrać tyle grosza, by mieć za co wrócić do Alzacji i tam sobie przed śmiercią wystawić domek, założyć ogródek z zielonemi sztachetkami. Swojami oczami oślepleni nie zobaczy już ani tego domku, ani ogródka, ale choć rękami głaskać będzie swoją własność. I sztachety muszą być koniecznie zielone. Bo taki domek, ogródek

i zielone sztachety mieli jej rodzice, od których uciekła z cyrkowcem przed czterdziestu laty... w świat. Do domu wrócić już nie mogła, bo ojciec Kalwin przeklął ją, a potem oboje rodzice z żalu nad utratą jedynaczki zmarli — dom przeszedł w cudze ręce. Na starość, na ostatnie choćby tygodnie tylko życia — ale mieć taki domek! jak dom rodziców...

Po jej śmierci osiadł w tym domku najmłodszy jej syn René... Najukochańszy, bo najbardziej przypomina nieboszczyka ojca, tego cyrkowca, z którym przed laty uciekła, dla którego poświęciła rodziców, solidnych mieszczan w Milhousie, dla którego znieśli przekleństwo i utratę swego raję: domku z zielonemi sztachetkami... René, ukochane jej dziecko!

Los jej oszczędził jej ciosu i na René'm. Chłopak dwudziestoletni zakochał się w owej donajętej do rodziny woltyżerce... Stara nie wiedzieć nie mogła, ale czuła instynktem, co się święci. Skatowała chłopaka, zamknęła go na kłódkę... Wnuk solidnych mieszczan, właścicieli sklepiku w Milhousie, nie może się poniżyć związkiem — z cyrkówką. Na to przecie będzie postawiony domek, by René osiadł, otworzył jakieś metier mieszczkańskie, by był „należytym człowiekiem“. Choć on jeden z spośród siedmiu braci niech napowrót będzie tem, czem człowiek być powinien. Matka żywi w tem i inną jeszcze nadzieję: oto osiadła, mieszczkańska karjera Renégo przebłagała cienie jej rodziców...

Woltyżerka dostaje oczywiście natychmiastową dymisję. René chodzi jak błędny... Wieczorem przy produkcjach na trapezie czyni jakiś fałszywy ruch — i spada. Zwichnął sobie rękę... Kładą go do łóżka. Leży koło tygodnia. Przez żydków dowiaduje się, że jego ukochana jest już w konkurencyjnej budzie cyrkowej, gdzieś koło Kiele. Bez grosza w kieszeni ze zwichniętą ręką puszcza się nocą pokryjomu ku Kielcom. Pościg nie może go schwytać. Po dwóch tygodniach przychodzi rozpaczliwa wieść: René doznał gdzieś do Suchedniowa, gdzie właśnie przebywał ów cyrk z jego ukochaną. Przybył i schwytał woltyżerkę in flagranti na schadzce z jakimś oficerem... Ani nie jęknął, tylko odszedł, wyprosił od kogoś rewolwer i zastrzelił się...

Ani jęknęła też matka... Pojechała do Suchedniowa, obstarowała grób jego zielonemi sztachetkami — wróciła do swego cyrku... Nazajutrz już było wiadomem, że jest obłąkana. Siadywała godzinami nieruchoma, wydawało jej się, że rozmawia ze swemi rodzicami, którym cichutko, spokojnie, nawet błagalnie, ale z bezbrzeżną pretensją przekładała:

— No dobrze, przekleńście mnie... Dobrze, tak powinniście byli zrobić... Ja to samo bym zrobiła na waszym miejscu... Ale za co przekleńście René'go... Za co jego właśnie? No powiedźcież! Dlaczego nie odpowiadacie?

I znowu od początku: „No dobrze, przekleńście etc...“

Tak aż do umęczenia...

W męcie jej pobłąkanych myśli syn René jakby spływał się ze swym ojcem, owym cyrkowcem protoplastą... Wymawiała słowo: Re-

né, a chciała mówić o nieboszczyku Jean'ie... Z wynurzeń jej odsłaniała się dopiero teraz, w demencji, jej przeszłość małżeńska...

Bij mię, René, ale nie uciekaj z Alicją... Przecież ja cię tak kocham René, przecież ja dla ciebie dom rodziców...

Kochała w René'm przede wszystkim jego ojca; ojca, który ją bił, torturował, zdradzał, który wreszcie od niej uciekł przed dwudziestu dwu laty z ową Alicją. Dziś przeżyła na nowo całą rozkosz pierwszych lat miłości.

Wieczorem, gdy nadchodziła godzina przedstawienia, jakimś ponadludzkim wysiłkiem budziła się z omroczeń psychicznych. Przytomna, jakby umyślowo zdrowa, zarządzała, dopilnowywała porządku, odbierała kasę. Dopiero gdy ostatni numer spektaklu skończył się, rzekłbyś jakiś ciemny woal owiał jej mózg, nanowo zapadała w psychozę. Milkł na sali ostatni oklask, — rozkazywała:

— Teraz domek spalić! Nie trzeba domu — nie trzeba sztachet...

I tak codzień...

Oto jest szkielec owej powieści. Jest on w mojem oddaniu tylko tysiacyzną częścią tego, co się wynurzało z narracji Reymonta. Czego tam w tej opowieści nie było! Zachwycające momenty psychologiczne, opisy, dialogi o nieporównanej barwie. Zaczął mówić koło północy — lato to było — skończył o świcie. Nie ruszyliśmy się ani na chwilę z miejsca, przykuci czarem rozwijających się obrazów, szczegółowymi rysami techniki akrobatycznej, oddaniem życia cyrkowego tak konkretnem, że wydawało nam się, że jesteśmy we wnętrzu, że niesamowita starucha-cyrkówka siedzi z nami. Naśladował ruchy jej palców, liczących pieniądze z kasy, odmierzał jej wzrost, gest jej kroczenia ślepego od przedmiotu do przedmiotu, wygląd i cechy każdego z siedmiu synów, spotkanie René'go z woltyżerką za miastem na łąkach, mgłę na łące...

Aparat twórczy genialnego narratora ani na chwilę się nie zatrzymywał, ani na chwilę nie brakło mu wątku. Wizja za wizją biegły i odrazu układały się w ład kompozycyjny. Gdyby ktoś mógł za plecami jego stenografować, co mówił — ze stenogramu powstałaby powieść, jedna z najświetniejszych, jakie są w literaturze polskiej. Czy w papierach po nim

znajdzie się ślad tej opowieści? Nie wiem. Pamiętam tylko, że wraz z pierwszym promieniem, przez okiennice parterowego okna restauracji hotelu Pollera, (gdzie to się działo) — wraz z pierwszym błyskiem urwał opowiadanie, rozgarnął rękami czuprynę i oświadczył:

— Ja z tego kiedyś zrobię powieść!

I w tej sekundzie, pamiętam to dobrze, miał w oczach coś z człowieka, zbudzonego ze snu.

WICIUK.

Z łaskawego upoważnienia p. dr. K. Dmochowskiego zamieszczamy poniżej nowelkę ś. p. Emmy z Jeleńskich Dmochowskiej, przedwcześnie zgasłej, nieodżałowanej działaczki, powieściopisarki i wielkiej patriotki. Nowelka nie mogła być w swoim czasie drukowana ze względu na cenzurę rosyjską. Niechże się dziś odezwie echem lat minionych w sercach czytelników, krzepiąc do walki o byt cudem odzyskanej Ojczyzny.

Była już późna godzina i krótki listopadowy dzień miał się ku końcowi, gdy w miasteczku wróciła do domu zmęczona i zziębnięta. Miała kilka oddalonych adresów do sprawdzenia.

Pokojowa, ledwie mi drzwi otwarła, oświadczyła:

— Proszę pani, stróż przyprowadził tu jakiegoś chłopca, który w bramie na bruku leżał. Mówi, że tak w bramie to i zamarznąć może. Żeby pani go obejrzała...

— Cóż to za chłopiec! Wiecie, że włóczęgów i żebraków nie przyjmuję...

— Stróż mówi, że on sierota. Matka zwarjowała, czy co. A on sam musi być głupi. Stoi, patrzy, dopytać się niczego nie możesz.

Ach, Boże! myślałam, zdejmując kapelusz i okrycie, jeszcze mi tego brakowało! Już i tak tych biedaków coraz więcej, długów mam po uszy, zima nadchodzi — to buty sprawiaj, to komorne płac, to drwa kupuj. A skąd tu wiać pieniądze? Jeszcze i ten, przybłąda jakiś... Pewnie nie dobrego...

Wysłałam do kuchni. W kątku pod lampą, stworzenie jakieś stało, bosa, obrośnięte, brudne, okręcone w poszarpane szmaty. Jakaś szara kupa strzępów, łachmanów i skudłanych włosów. Stało oparte o ścianę, z rękami wetknię-

Z uroczystości
pogrzebowych ś. p.
arcyb. Cieplaka.



Na dworcu kolejowym.

Od lewej strony stoją:
min. spr. wewn. Racz-
kiewicz; p. Prezydent
Rzeczypospolitej;
arcybiskup Kakowski;
bisk. pol. Gall; bisk.
unicki Bocian i ar-
chim. Filip Morozow

temi w jakieś niby kieszenie i patrzyło przed siebie wielkimi, błękitnymi oczami.

Było coś dziwnego w tych oczach. Męskie one były, dojrzałe już i doświadczone, i odbijały od dziecińskiej twarzyczki, jakby do niej nie należące, jakby zapożyczone od innej istoty, jakby zużyte już i zmęczone patrzeniem na świat i widzeniem rzeczy smutnych.

— Nie widzisz — że pani? Pocałuj — że w rękę! — żakomenderowała pokojowa, która zawsze stała na straży form światowych. — Cóż? nie słyszysz? Ty... chłopiec!... — powtórzyła już oburzona takim lekceważeniem samej pani.

Chłopiec nie poruszył się.

— Daj mu pokój, Weroniko — rzekłam, zbliżając się do niego. Zdziwiły mię te jego oczy, które teraz utkwily we mnie pytająco, snadź badały mię. — Jak się nazywasz, dziecko? zapytałam, pochylając się ku niemu.

— Wiciuk — odrzekł cichutko. Spojrzał na mnie badawczo i opuścił głowę.

— A twoja mama? Jakże się nazywa? Co?

— Moja mama? Józefowa.

— A tatko?

— Tatko? Józef Pietkiewicz.

— Gdzież wy mieszkacie?

— My mieszkali na Popowszczyźnie.

— Jakto, mieszkali? Więc gdzież są twoi rodzice?

Cień jakiś po twarzy mu przeleciał i nie odpowiedział nic.

Ale w tej chwili Weronika, która się krzątała już około wieczornej herbaty, otworzyła piec, i wionęło zeń zapachem pozostałej od obiadu zupy. Błękitne oczy podniosły się żywo i zwróciły się ku drzewkom od pieca. Usta zadrgały.

— Weroniko! on głodny. Trzeba go naprzód nakarmić, a potem wszystkiego się dowiemy.

— Jaki on tam głodny, proszę pani! Pewnie kieszenie ma chlebem napchane. Wszyscy oni tacy, włóczęgi!

Po chwili jednak siedział Wiciuk nad talerzem gorącego barszczu i jadł. A jadł tak, że Weronika uwierzyła, iż nie miał kieszeni chlebem napchanych.

A potem nastąpiła ze mną obszerna rozmowa.

— Więc mówisz, że się nazywasz Wicio Pietkiewicz i że masz rodziców? Gdzież oni są?

Chwila namysłu. Błękitne oczy podniosły się na mnie i znowu badawczo spojrzwały. Widoczne w nich było wahanie: powiedzieć, czy nie powiedzieć?

— Cóż ty tu w bramie robiłeś, gdy ciebie stróż znalazł i przyprowadził?

— Ja zmęczył się, więc siadł sobie...

— Ależ tak wieczorem na zimnie siedzieć nie można. Mógłbyś zamarznąć. Czemużeś nie szedł do domu?

— Do domu? U mnie niema domu.

— Jakto? Więc gdzież wczoraj nocowałeś?

— Wczoraj? Ja na deskach nocowałem, w leśnym składzie, u Perlisa.

— A cóż jadłeś?

— Na płytach ludzie wieczera gotowali, tak ja im wody naniosłem i trzasek nazbierałem. Tak i mnie dali.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj już płytów nie było. Nie mógł ja nic znaleźć. Teraz zimno, tak i Wilja puścieszka... Westchnął ciężko.

— I tak dawno żyjesz?

— Od Zielonych Świątek. Latem niewielka sztuka — dodał z uśmiechem.

— Ale dlaczego się tak włóczysz po mieście, co?

Znowu chwila milczenia. Znowu oczy dojrzałe, doświadczone, badawczo mnie obejrzały.

— No, cóż, Wiciu? Trzeba, żebyś mnie wszystko opowiedział. Inaczej nie ci nie będę mogła poradzić. A przecie nie chciałbyś tak się włóczyć przez całą zimę, i spać na deskach u Perlisa, i głodnym być? Prawda? Wolałbyś mieć dom i obiad, ubranie całe i buty? I uczyć się czegoś, tak jak inne dzieci? Wolałbyś? To musisz mi wszystko opowiedzieć...

Błękitne oczy zaszyły mgłą, a usta zadrżały. I wyszło z nich ciche, nieśmiałe pytanie:

— Ale pani... pani mnie nie odda do przyjutu?

Zrozumiałam. Na dnie tej duszy dziecińskiej leżała jakaś tajemnica. Położyłam mu rękę na ramieniu i przyciągnęłam do siebie.

— Do przyjutu, dziecko! Nie, nie oddam. Możesz być spokojny — dodałam.

I poczułam, że moje oczy też mgłą zachodzą.

Wiciuk przełknął ślinę i szepnął: — To ja pani już wszystko powiem.

— Dobrze. Powiedz mi wszystko. Gdzież są twoi rodzice.

— Tatko pojechał do Rosieji. Już dawno pojechał. Na Popielec wrócił do chaty bardzo pijany, nas bił i mamę bił, a potem wyjął z kuferka półczwarta rubla, co mama za posługi dostała, i papiery wyjął i powiedział, że jedzie do Rosieji. Tak mama odrazu powaliła się na podłoga. A tatko wziął i pojechał.

— I już nie wrócił? I nie pisał dotąd?

— Nie. Ze wszystkim pojechał.

— A cóż potem było?

— Potem mama zaczęła warjować. Ponaczepiała sobie łachmocie wszędzie i chodziła po ulicy i śpiewała, i jak kiedy, to tańcowała. I wszystkie śmieli się. A potem, raz, rzuciła się jednego tam powróznika, co obok w chacie mieszkał, bić. Więc ludzie pozbierali się i chcieli mamę oddać do św. Jakóba. Ale wtedy jeszcze nie oddali.

Przerwał Wiciuk swoje opowiadanie i zapatrzył się w płomień lampy. W głębi jego smutnej duszy musiały powstawać obrazy straszne, bo oczy były przerażone i błędne.

— A jakże potem było?

— Potem? Potem mama już ciągle chorowała. To modli się, modli się i śpiewa litanja, i nam każe śpiewać. To znowu wyleci gdzieś, i dwa, trzy dni niema...

— A cóż wy robiliście bez mamy? Wieleż was było dzieci?

— Dzieci? Był ja, i Wikcia, i Kaśka. Ona najmniejsza.

— Cóż wy jedliście?

— Tam, blisko, ciotka mieszkała. To czasem dała chleba, ci kartofli, ci co. A potem, jak było ciepłej, zaczęli my szczaw zbierać i gotowali... i pokrzyw gotowali...

— A potem cóż było?

— Potem, raz Kaśka zachorowała. Pochorowała kilka dni i umarła. Tak mama przyszła do domu, jak zobaczyła, tak wzięła nóż i chciała nas zarznąć i siebie także. Tak ludzie pozbiierali się i sprowadzili gorodowego. A gorodowy zawołał zwoszczyka, posadził mamę i powiózł do św. Jakóba. — Przez chwilę błękitne oczy, utkwione w lampę, zdawały się patrzeć znowu na odjeżdżającą matkę. Łzy się w nich zaszklily, lecz nie spłynęły. — A mama jeszcze ze zwoszczyka krzychała: Dajcie mnie noża! Dajcie...

Urwał i spuścił głowę. Czy słyszał jeszcze krzyk matki?

Po jego twarzy przeleciał skurez. Usta zdrząły i skrzywiły się. I mną wstrząsnął dreszcz.

— A cóż się z wami stało?— spytałam po długiej chwili.

Wiciuk podniósł głowę. — Z nami? — Chwilę zdawał się zbierać myśli i przypominać sobie. — Nas wzięła ciotka, Wikcię i mnie. A Kaśkę pochowali na darmowych mogiłkach.

— Dobrze wam było u ciotki?

— Dobrze. Tylko, że jej mąż nie chciał nas trzymać. Mówił że my dużojemy i że oni mają swoje dzieci. Ciotka chciała, ale mąż jej nie chciał. Tak potem wzięli i zaprowadzili nas do pryjutu... — Urwał nagle.

— No, i cóż było dalej? — Milczenie. — I oddali was do pryjutu, co? Mówże, dziecko, co było dalej?

Zajrzałam mu w twarz. Błady był i miał zacisnięte usta.

— Cóż się dalej stało? Mów, dziecko! Wzięli was do pryjutu?

— Wikcię wzięli — wyszeptał cichutko. — A mnie...

— No, a ciebie?

— A mnie nie wzięli, bo ja uciekłem.

Głowę nagle podniósł do góry i spojrzał przed siebie. Oczy mu się rozblęły dziwnym światłem, zacisnął pięście.

— Nie chciałeś iść do pryjutu? Czemu nie chciałeś?

Błękitne oczy zionęły płomieniem, na twarzyczkę bladą wystąpił nagle rumieniec i głosem doniosłym, wyzywającym, męskim odparł:

— Bo ja nie chcę być ruski.

E. Jeleńska.

List C. Norwida do Michała Pawlikowskiego.

Upominasz się, że pisałem *kwiaty czarne* i *kwiaty białe*, a róży pączki ominałem. Oto więc jeden z onych posyłam Ci — róży pączek jest *dobra = nowina*...

Wielką radość zesłał mi Opatrzności = Pan.

Odebrałem właśnie wiadomość, że jeden z najbliższych krewnych mych, niejaki Michał Kleczkowski, który od lat wielu uczestniczy poselstwu Francji w Chinach, wysłany został na wycieczkę morską: od stu = pięćdziesięciu lat

nie praktykowaną i w czas najburzliwszy... ale z dwoma zbrojnymi okrętami na poratowanie najmłodszych Chrześcian za wiarę Ś-tą męczonych i okutego za szyję żelaznym pierścieniem biskupa tej katakumbowej garstki braci naszych.

Zaiste — szczęśliwy!... nie w *tureckiej* czapce, ani w *kirgizkim* kołpaku, ani w *nekromanetycznym* kapturze wróci — jeśli wróci...

Ten — doprawdy widzę, iż z Sobieskiej rodzi się. Oto i pączek róży.

Do widzenia.

Cyprian Norwid.

Paryż, 1857.

* * *

List powyższy, osnuty na motywie osobistych wspomnień czy zwierzeń, ujętych w symbol literacki, stąd raczej zbliżony istotnie do samoistnych utworów typu *Czarnych i białych kwiatów*, przesłany był Michałowi Pawlikowskiemu i zachował się w zbiorach Biblioteki im. Pawlikowskich we Lwowie. Dotychczas bodajże drukiem nie był ogłoszony. — Michał Pawlikowski, naówczas młody początkujący poeta, znany później powieściopisarz i publicysta, ojciec Tadeusza i Jana Gwalberta, poznał się i zaprzyjaźnił ze starszym o kilkanaście lat Norwidem w Paryżu 1856 r. Przyjaźń ta znalazła wyraz w żywej korespondencji, tudzież w twórczości poetyckiej Norwida. Przez szereg lat przesyłał on przyjacielowi utwory swe poetyckie (*Duch Adama i skandal*, *Buntowniki*, *Do wroga pieśń* i in.; między temi wiersz wprost do Pawlikowskiego zwrócony: *Do Mieczysława*, dziś znane z wydania Miriama), z których tenże kilka ogłosił w pismach lwowskich, a wszystkie pilnie i troskliwie przechowywał. Przeważna część listów i bilecików Norwida, adresowanych do Pawlikowskiego, spoczywa dotąd w zbiorach wspomnianych, nieogłoszona. Podano tutaj jeden, który poza osobisto-biograficznem ma także znaczenie literackie.

St. P.

EDWARD GARNIER.

Primavera.

„Je connai sur la terre une bien douce chose“.

Znam ja na ziemi najdroższą rzecz w świecie
Dla ran serdecznych,
Dach, gdzie wędrowiec odpocznie w zamiecie
Wśród ścian bezpiecznych.
Znam źródło czyste, co w miękkim mechu toczy
Fal ciche lśnienia,
I gdzie usta pić mogą z odżywecej przezroczy
Moc zapomnienia.
Znam wonie cudne, balsamy rozlane
W kwietniowe zorze,
Których Anioł, nam duchom, co z rajy wygnane
Zazdrościć może.
Otóż czar tego źródła, balsamy i wonie,
Ten port świetlisty,
Ból człowieczy odnajdzie na przyjaźni łonie
Kobiety Czystej.

Tłom. L. Ż.

Uroczystości pogrzebowe ś. p. arcyb. Cieplaka w Wilnie.



Prezydent Rzeczypospolitej
polskiej kroczy za trumną
ze zwłokami ś. p. arcyb.
Cieplaka.

Duchowieństwo łacińskie i unickie
poprzedza karawan z trumną.



KUNDUKT POGRZEBOWY.
Trumna ze zwłokami ś. p.
arcybiskupa.